

WŁADYSŁAW KWASIŃSKI

Ogn. rez. Władysław Kwasiński, 53 lata, emerytowany magazynier PKP, osadnik
w Kolędzianach, pow. Czortków, woj. tarnopolskie, żonaty.

10 lutego 1940 r. o godz. 6.00 całą naszą osadę obstarpi NKWD-ziści wraz z miejscową milicją i zaczęli nas ładować na fury, które mieli już ze sobą. Przeprowadzili rewizję za bronią, wówczas dali tylko 20 min na załadowanie się na fury, z zegarkiem w ręku. Po załadowaniu zawieźli nas do stacji Szmańkowczyki. Tam załadowali nas wraz ze służbą leśną do wagonów i tak wieźli nas 11 dni. Wozy były zamknięte i pod strażą NKWD, po drodze dawali nam jedzenie, ale było bardzo skromne i niewystarczające, po dwa dni byliśmy o głodzie. Co do wody, było jeszcze gorzej: brakowało, a kiedy chcieliśmy przez okno wziąć śniegu wiadrem lub jakimś naczyniem, to żołnierze (straż) wrywali naczynie z rąk lub kłuli bagnetem w rękę.

Zostaliśmy przywiezieni w Ałtajski Kraj, ucz. przystański *rajon*, *mechpunkt* Czerwionka, 90 kwartał, stacja Sokoliki, do robót leśnych. Przydział dostaliśmy w lesie, w barakach, tj. 90 kwartał. Baraki były ogólne, mieszkaliśmy razem.

Początek naszego życia: byliśmy otoczeni strażą, nikomu nie wolno było oddalać się z baraków, co chwila zebrania i ogłoszenia, co nas czeka za opuszczenie baraków, uchylanie się od pracy, wyrażanie się na ZSRR, że nigdy takiej zgniłej Polski nie będzie, prędzej na dłoni włos wyrośnie niż Polska wróci, że może nas uratować, gdy pójdziemy po ich linii. Po trzech dniach od naszego przybycia rozdzielili nas do pracy leśnej, tj. spuszczenia drzewa, rozpiłowywania tego drzewa i składania na placu. Pracowali mężczyźni i kobiety, różnicy nie było.

Wikt był bardzo lichy, chleb czarny, razowy, niewypieczony, prawie surowy. Dla dzieci (niemowląt) nie było nic, tak że do dwóch miesięcy dzieci małe wymarły prawie w 70 proc. z braku mleka i żywności dla nich.

Pisać nie wolno było, schodzić się nie wolno było, pieśni pobożnych śpiewać nie wolno było, gdy zaczęli jakąkolwiek pobożną pieśń śpiewać, wpadał komendant lub pomocnik z nahajem i rozpędzali.

Po dwóch i pół miesiąca pozwolono nam pisać do rodzin. Listy były składane w komendanturze, a tam przez komendanta cenzurowane.

Praca była ciężka, a zarobek bardzo mały, bo nas na normach okradali. Za to wynagrodzenie, które dostawaliśmy, to musieliśmy wyżywić siebie i swoją rodzinę, a [jak] rodzina była większa, lecz niezdalna do pracy, to cierpiała głód. Innej rady nie było, żywność była wyznaczona na normy, na roboczego 800 g chleba, a na dzieci i starców 400 g. Kto był bogatszy, wymieniał ubranie, koszule czy inne niezbędne przedmioty za żywność, a majstrzy, dziesiętnicy, wykorzystywali prawie za darmo. I tak ludzie słabli z dnia na dzień, a robić musieli. Franciszek Turowski z Czortkowa, mając na utrzymaniu pięcioro drobnych dzieci, tak był głodem zamorzony, że wracając z pracy, upadł na drodze i tak umarł. Taką śmiercią umarł Piotr Pachulski, Jan Gadzina i Józef Fil.

Potem rzuciły się choroby: cengo [cynga], dyzenteria, malaria i tyfus brzuszny. Ludzie umierali, a opieka sanitarna była słaba – byli ludzie niewykwalifikowani, jak u nas: kobieta felczer, która w ogóle żadnego pojęcia nie miała, a jeszcze podlegała komendantowi, który uznawał chorego, kiedy ten już konał lub w gorączce 39-40 stopni. I tak cmentarz rósł. Uprosililiśmy komendanta, żeby można było stawiać krzyże na grobach. Zgodził się na to, a gdy przyjechała komisja, o której nie wiem, co miała za cel, kazała wszystkie krzyże ściąć.

Gdy przyszła zima, ludzie nie mieli ciepłego odzienia, a kupić nie mieli za co. Wypędzano ich tak do pracy i wielu poodmrażało nogi, ręce, a nawet twarze. Ja mam odmrożone palce u nóg w drugim stopniu, pamiątka, która została do śmierci. Piotr Natkaniec, osadnik z Rawidkowic, pow. Czortków, odmroził nogi tak, że został kaleką, a felczer nie uznał go za chorego i pędzili go do roboty, a gdy nie mógł, to go zamykano. Szpitale były daleko od rejonu, tak że mało kto mógł korzystać. Tak nasze życie trwało do amnestii. Przyjechało nas ok. 780 osób na ten barak, przy końcu, tj. do amnestii zostało ok. 350 osób.

Gdy ogłosili nam amnestię, namawiali do pozostania na miejscu, a gdy nie zgodziliśmy się na to, *mechpunkt* nie wypłacił nam całej reszty naszego zarobku. Ale my i tak odjechaliśmy na południe, do Kazachstanu. Gdy tam przyjechałem, wstąpiłem do pracy

w Delegaturze Polskiej w Czemkencie [Szymkencie], a gdy był wyjazd z ZSRR do Iranu, wyjechałem 22 sierpnia 1942 r.

Co do wyborów w 1939 r.: dom urny wyborczej była to szkoła, wybrana komisja wyborcza składała się z Ukraińców. Wybory odbywały się w następujący sposób: były dwie sale, w pierwszej był bufet i orkiestra, a w drugiej była urna wyborcza i tam oddawano kartki do głosowania. Kto przyszedł jako ochotnik z rana, tego przyjmowano w bufecie i tak było do południa. Ludzie dużo wstrzymywali się, wysłano milicję i spędzono do głosowania, tych już w bufecie nie przyjmowano, ale pod obserwacją prowadzono do głosowania. Tam była zastona, za którą był ukryty człowiek, który ludzi znał i donosił, kto rzuca puste kartki.

Miejsce postoju, 8 marca 1943 r.